ROZMAITOŚCI.

Dnia 25. Kwietnia. № 17. Roku 1855.

SENEGAMBIA.

Przygody pana Verneuil w podróżach nad Senegalem i w środkowéj Afryce.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 8. 9. 10. 11. 16. Rozmaitości.)

VI.

Dogana. Król i jego córka. Murzyńska żałoba pogrzebowa.

Dogana jest stacya francuska nad Senegalem o czterdzieści pięć mil od ujścia. Twierdza bardzo skromna, mur w czworobok z cegieł, o ścianach na jeden metr grubości, a może do sześciu metrów wysoki, w każdym rogu osadzone stoi jedno działo, a od rzeki ma kasarnię na dwie kompanie żołnierzy krajowców pod dowództwem francuskich oficerów. Za stacyą leży duża wieś murzyńska, liczy przeszło trzy tysiące ludności. Naczelnik jéj Fara, mieszka w pośrodku wioski i panuje nad całą okolicą, słynie z mądrości i dobroci, a wszyscy szanują jego wiek sędziwy.

Odwiedziłem go. Pomieszkanie jego odznacza się między chałupami poddanych mu tylko tém że większa, i że ma wystawioną chorągiewkę czerwoną na tyce.

Gdym wchodził do izby, Fara coś zapisywał na drewnianych tabliczkach. Przyjął mię z wyszukaną grzecznością, i po piérwszych oświadczeniach posadził na macie, wszystkiém co było najpiękniejszém z jego sprzętów domowych. Na ścianach wisiała zbroja, odzież, sandały i talizmany, sądzę że co kosztowniejszego a może i insignia książęce musiały być w skrzyni drewnianéj a staréj, co stała obok. Nie mogłem długo wytrzymać w izbie, gęsty dym raził mię, musieliśmy wyjść na dwór i posiadaliśmy w piasku pod cieniem drzew; rozmowę naszą przerwało przybycie młodych Murzynek szczebiocących między sobą wesoło.

Fara uprzedził mię, że to nadchodzi jego córka Haisita z swojemi niewolnicami. Wracała z przechadzki; wkrótce ujźrzałem ją w gronie towarzyszek i swego orszaku; obecność moja zdała się nieco ją mięszać, ale na wezwanie ojca przywitała mię bardzo uprzejmie, i wkrótce odeszła z swojemi do izby.

Gdy odeszła, rzekł mi Fara:

Z ośmiorga dzieci to jedno oszczędziła mi wojna; wszyscy poginęli w walce albo ujęci w niewolę poszli, a i ta ocalała mi jedynie cudem, bo się na największe wystawiała niebezpieczeństwa. Raz tu, ztąd o kilkaset kroków toczyła się zapalczywa walka, i ażeby mnie dopomódz rzuciła się w ciżbę największą niezważając na grożącą jéj zewsząd śmierć; ale tém dała nam zwycięztwo, słabą swoją ręką pokonała dowódzcę nieprzyjaciół, że najezdnicy tém przerażeni pierzchnęli. Właściwie ja sam z nim sam na sam walczyłem; on był młody i silny, nieochybnie byłby mię pokonał, ale ona przeszyła go włócznią i położyła trupem u nóg moich, nim jeszcze mógł spostrzedz, co go czekało. Od tego czasu mamy pokój i cieszymy się opieką nieba. Oby wielki duch i ciebie w podróżach twoich prowadził i zachował, życzę ci tego młody biały człeku z całego serca.

Poźniéj widywałem często córkę tego królika. Była młoda, przystojna, delikatnie zbudowana, pełno w głowie wesołéj pustoty, i wcale godna tego zwycięztwa, jakiém ją los zaszczycił. Prawdziwa Amazonka, żadna z towarzyszek i niewolnic nie wyrównywała jéj w pływaniu, jeździe konnéj i w użyciu broni. I chociaż z psoty często im dokuczała, uwielbiali ją wszyscy, gdyż w ogóle obchodziła się z wszystkimi bardzo serdecznie.

Towarzyszyłem jéj kilkakrotnie na polowaniu, i zawsze ona więcéj ubiła zwierza chociaż-to broń europejska nierównie celniejsza. Ja jeźlim chybił kuropatwę albo gazellę, w okamgnieniu ona swoją hassagają albo strzałą zwierzę dosięgła i położyła. Ani ją zastraszały hyeny, pantery, tygrysy; raz jednak pozwoliłem sobie szczerze ją wyłajać, bo podbiegła pod jaskinię tygrysicy, i gdybym był szczęśliwym trafem bestyi nie ubił, padłaby była ofiarą swojéj zuchwałéj śmiałości. A ona śmiejąc się, na zgodę porwała tygrysiątko i darowała mi.

Miałem już wyjeżdżać z Dogany, gdy Amedu król Braknów, przysłał do mnie z zaprosinami na kilka dni do siebie. Nadesłał bardzo rącze konie i można było pośpieszyć.

Puściliśmy się stepami i przez piaski. W jednėm miejscu nadjechaliśmy do pewnéj wioski, gdzie murzyn umarł. Złożono ciało jego przed chatą, obłożono go wszystkiemi ruchomościami jakie posiadał, a krewni w żałobie wywoływali:

I dla czegoż tyś umarł? czemu odchodzisz od nas? czy ci się żony przyniewierzyły? Czy może dzieci nie wypłacały się poszanowaniem? Dla czego nie pozostajesz dłużéj na ziemi, gdzie na niczém ci nie zbywało? Nosisz złote naramienniki, na twojéj roli rośnie proso rozkosznie, a w twojéj chacie chowasz potrójną warstwę suszonych ryb!

A miałem sposobność słyszéć jeszcze jedną żałobę pogrzebową. Dojeżdżając raz lasu zdybaliśmy murzyna, który dźwigał na plecach ciało zmarłego przyjaciela, i wywoływał:

Chodź mój bracie; duch twój będzie w pokoju wznosić się do ducha wielkiego; ciało twoje złożę w żgłobie jednego drzewa, któré-m ja sam wyszukał; a spo-

czywać będziesz tak wysoko, że cię nie dosięgną zęby pantery; ochronion będziesz, że deszcz włosa twego nie zmacza; a w przybytku twoim złożę ci fletnię twoją i na tablicach spisane piosneczki twoje. A ja za ciebie posyłać będę pięć razy na dzień wielkiemu duchowi parę z cybucha tam pod tą wielką tamaryndą, gdzieśmy siadywali i śpiewali razem.

VII.

Illuminacya murzyńska. Łowy na lwa. Podróż. Kanibalizm.

Nasza podróż na książęcy dwór Amedu szła bez przerwy i z pośpiechem; wkrótce dobiegliśmy znowu brzegów Senegalu, i przyszło przeprawiać się w jednėm miejscu bardzo głębokiėm i bardzo szerokiėm; za przykładem moich afrykańskich towarzyszów rozebrałem się, uwiązałem suknie do grzywy między uszy koniowi, sam téż musiałem opasać się talizmanami od krokodylów i wężów wodnych, rękami chwyciłem się konia za ogon, i z łaską boską przeholowałem się za rzekę. Ale potrzeba było czasu nim się przerznęły konie przez nurty téj rwącéj rzeki, zadyszały się dobrze i nająkały, nim do brzegu przygnały; dopiéro trzeba było ich widzieć jak radośnie rżały, gdy się dobrały do lądu. My także szczęśliwi, że się skończyło, w skok dopadliśmy siodła i daléj przez stepy.

Niebawem przybyliśmy do obozu księcia Amedu; niewolnicy zbiegli się, pochwycili mię na barki i zanieśli przed pana swego.

Tu czekał mię widok jakiego trudno, tak osobliwy. Gdyśmy przybyli, miało się gdzieś koło północy; obóz księcia rozbity stał po wzgórzach piaszczystych; książę ażeby okazać radość z moich odwiedzin, kazał naznosić w około pagórka drew stosy i zapalić w ognisko. Mnóstwo Murzynów rozniecało, i powstał pożar ogromny; w około pałających płomieni gołe, czarne postacie murzyńskie snuły się jak strachy albo upiory czartowskie. Pasma iskrzących gwiazd rozsypywały się w obłok i zachodziły nad nasze głowy, a niezwyczajną jasnością spłoszone bestye puszcz ruszyły się z wściekłością z rykiem i wrzawą. A nad nami niebo gwiezdziste świeciło tak wspaniale, jak jeszcze wyobrażenia nie miałem.

Książę częstował nas na uczcie psiem mięsem pieczonėm na świéżo, ale to nam nie smakowało; za to dogadzaliśmy sobie słodkiėm winem palmowėm, które, zwłaszcza księciu dobrze zajęło głowę; więc tańczyć, więc śmiać się i hulać, gdy tymczasem poddani chórem przyśpiewywali na chwałę i sławę jego, że młody, że piękny, mocny i rozumny; że hassagają żaden rycerz lepiéj nad niego nie włada, a dzikiego konia nikt nie uchodzi zręczniéj.

Amedu objął rządy po zgonie swego starszego brata, który bardzo smutnie i niespodzianie zakończył. Murzyni jego znaleźli w tłubie rozbitego na brzegach okrętu skrzynię z zapasem gorących trunków; a była tam flaszeczka, którę dla osobliwszéj formy i szczególnego zapachu przynieśli do pana swego. Nieszczęsny

wychylił całą i padł bez duszy. Była-to trucizna.

Wreszcie już téż podopaiały się ogromne stosy, z płosek nie dało się więcéj nacedzić wina, więc pozasypialiśmy jak siedzieli na miejscu, co pod tą strefą gdzie promień słoneczny za dnia rozpalał piaski, rzecz nie jest tak dziwna.

Nazajutrz dano znać księciu, że lew w trzodach narobił szkody, i że pewnie gdzieś niedaleko trzyma się w krzakach, bo obżarty nie ujdzie snadnie.

Biały! mówi książę do mnie, to na twoje szczęście, będziesz mógł ojcu twemu zawieść lwią skórę.

Nakazał zaraz przysposobić łowy; wyznaczeni na to niewolnicy opasywali się talizmanami i żegnali z żonami. Nim ruszyli, poklękali wprzódy, ponachylali głowy na pałki i modlili się; sam książę zmówił także pacierze do proroka, i dopiéro ruszyli.

Amedu wpychał mi broń, ażebym mógł brać udział w spotkaniu; odmówiłem zaszczytu, wolałem wyleść na drzewo, o którém wprzódy przekonałem się, że w ziemi siedzi mocno. Z niego miałem dwie dogodności: piérwsza nie było strachu, a druga że miałem widok całéj gonitwy.

Myśliwi najprzód otoczyli całą kniejęobławą; potem na znak kołło ścieśniać zaczęli, że lew wreszcie spłoszony wyskoczył z legowiska; rzucił się na przebój, ale się nie udało, bo zastępy były silne, więc wszczęła się krwawa walka, wkrótce rozległ się ryk okropny, znakiem że lwa boleśnie raniono. Nie da się opisać wściekłość z jaką się miotał, zdawało się że nic go nie powściągnie. Już nawet leżało kilkoro ludzi porwanych w sztuki, i chwila, byłby uszedł, ale go dopadł jeden myśliwy pałką, powaliło się lwisko, potem go dobili.

Okupiono zwycięztwo drogo; nie mało myśliwych poległo, wielu lew poraził, ale na to z krewnych nikt ani pisnąć nie śmiał.

Powróciłem do Dogany, gdzie mi się wydarzyła sposobność przypatrzyć się powodzi zwykłéj w porze porównania dnia z nocą, a zalewającéj całą płaszczyznę Dogańską na dziesięć mil rozległości tak, że tylko gdzieś niegdzieś po wzgórzach wystaje chałupka murzyńska, i wierzchołki drzew sterczą.

W czasie téj powodzi za zwyczaj ginie mnóstwo zwierząt, a najbardziéj zapłodek tych zwierząt, co żyją pod ziemią; większe i silniejsze które są w stanie stawić wałom opór, garną się kupami pod stacyą Dogany; tygrysy, hyeny, odyńce, gazelle płyną razem, pod mury się cisną i wydają najżałośniejsze ryki. A trwoga tak ich nastrasza, że ani oporu nie stawiają Murzynom, którzy w czółenkach pomiędzy nimi toporami mordują, co się nawinie. Strach bo téż rzeczywiście wtedy wielki, grzmoty i pioruny huczą w powietrzu, błyskawice niebieskiém płomieniem oczy rażą, a orkan wzdyma wały ogromne wód.

W czasie takiéj powodzi musiałem z urzędu często odprawiać podróż z Dogany do Richard Tollu, a mało-m taką jazdę raz nie przypłacił życiem. Sześciu wioślarzy było ze mną w czółnie, a dwa dni już nam żywności nie stawało. Jakiś

czas wzywali moi Murzyni Mahometa o pomoc; lecz że nie nadchodziła, i zmrok już zapadał, powyciągali noże, i w okamgnieniu zakłóli jednego z pomiędzy siebie; gnębieni głodem już rzucić się mieli na żer, gdy nas zaszły dziwne jakieś odgłosy zdala. Murzyni stanęli w podsłuchy, i wykrzyknęli nagle:

Allah-Toll! Allah-Toll!

Allah-Toll znaczy boży ogród, a tym wyrazem oznaczają Murzyni owe wysepki, dokąd się ratują powodzią spłoszone zwierzęta. Wkrótce i nasza barka przybiła do tego przybytku. Zastaliśmy tu widok jak się bestye zajadały nad rozszarpaném ścierwem. Ogromne odyńce żarły się z hyenami i panterami, co na krew odyńca bardzo łakome, a gazelka jedna uchodząc przed tygrysem, wskoczyła na nasze czółno. Murzyni zabrali miecze w zęby, i powyskakiwali na brzeg, a czółno dla mego bezpieczeństwa odtrącili od lądowiska.

Godzili na zwierza dzikiego, i zdziwiłem się, że wszystko uciekało przed nimi; zdobyli jednak dosyć żeru, i najadłszy się pokładli się spać na miejscu, o mnie ani myśląc. Tymczasem dzikie zwierzęta zwietrzywszy trupa na mojéj barce, opływali mię całą noc; musiałem się pałaszem oganiać.

Dopiéro jak dzień się zrobił, ocknęli się za mną Murzyni, złapali barkę, mogłem i sam wysiąść na wyspę i orzeźwić się pieczystem z gazelli. Na wsiadaném napakowali Murzyni barkę mięsiwem, pogrzebali zamordowanego towarzysza, a na grobie osadzili drabinę, ażeby jak mówili, jego duch mógł wyleść do nieba.

(Dokończenie nastąpi).

MANFRED.

Tragedya w 5 aktach wierszem

przez

Xawerego Godebskiego.

(Dalszy ciąg. Ob. N. 1. 2. 3. 7. 8. 9. 10. 11. 12. 13. 14. 16. Rozmaitości).

Scena 2.

Opustoszała komnata w zamku Lukano.

Opat *(wchodzi sam).*

Gdzie spojżrzę — pustka i zwaliska:
Krok mój w próżnych komnatach głośno się ro-
(zlega:
Ani śladu mieszkańców, ni wieści od zbiega.—
Rycerze pogrążeni w żalu i rozpaczy:
Morderca im się wymknął.... Niech mi Bóg prze-
(baczy!
Umysł mój słaby w zwykłe wpada pobłażania,
I mimowolnie znowu za zbiegiem się skłania....
Nie mylę się — spostrzegam krwi przelanéj zna-
(ki...
Czemuż mi wpadły w oczy te mordu poszla-
ki...?
Sam Bóg mię upomina przez to widowisko —

(podnosząc głos).

Do mnie, bracia! — Krew świéża — morderca
(jest blizko!

(Rycerze i mnichy wchodzą z pośpiechem wiodąc śród siebie Klotyldę wybladłą i drżącą).

Jeden z Rycerzy.

Schwytaliśmy niewiastę zbladłą i struchlałą.

Opat.

Odpowiadaj nieszczęsna.—Co się z Hrabią stało?
Gdzie słudzy, — gdzie zabójca?

(wskazując na posadzkę).

A te ślady czyje?

Klotylda.

Pozwólcie niech odetchnę — trwoga mię dobije....
Zbójcy wpadli tu w nocy — powstał bój nie długi,
Bo Hrabia pierwszy zginął; a dworscy i sługi
Uciekli zaraz. — Zbójcy łupem obciążeni
Uciekli również. — Sama pośród nocnych cieni
Wyjść nie chciałam: o życie chodziło mi mało —
On został w zamku....

Wszyscy.

Kończ! kończ!

Klotylda.

Tu przyciągnął ciało:
Słyszałam, jak tu za nim wlekło się po ziemi,
Słyszałam, jak drzwi zamknął: nie szedł za in-
(nemi:
Ofiara i morderca razem tu zostali.

Jeden z Rycerzy.

Szukajmy — skrył się może w przyległéj tu sali.

(Rycerze i mnichy cisną się tłumnie do bocznych drzwi).

Opat.

Wstrzymajcie się! broń ludzka bezsilną w téj
(sprawie:
Wyśledzenie mordercy sobie pozostawię,
Ujźrzycie, jak głos starca przed was go przy-
(wiedzie,
Bo przez starca Bóg mówi. —

(Otwiera sobie wolne przejście — przystępuje ku drzwiom i głos podnioślszy uroczyście przyzywa).

Wzywam cię Manfredzie!
Gdziekolwiek jesteś, słuchaj twojego wyroku:
Krwi chciałeś — krew przelana — nie doczekasz
(zmroku!

(Drzwi się otwierają — Manfred wchodzi zwolna ze sztyletem w ręku i krwią zbroczony. — Postać jego tak jest nakazującą i straszną, że tłum cały rozstępuje się w osłupieniu, i zatrzymać go nie śmie. — Manfred wymierzonym postępuje krokiem).

Mnichy.

To on!

Rycerze.

Kto? Kto?

Manfred.

Morderca...! Czegoż tu szukacie?

Opat.

Występujesz w straszliwym zbrodni majestacie
Czyś ty posłańcem piekła? Czy sam władzca
(piekła
Wstąpił w ciebie, istoto w czynach niedociekła,
Wzniosła śród przestępstw tylu?

Manfred.

W zwątpieniu i trwodze
Czemuż błędny wzrok rzucasz? Czy wiesz zkąd
(przychodzę?
Z zimnego domu śmierci, gdzie z nim byłem ra-
(zem,
Sam na sam — utajony pod grobowym głazem,
Śledząc tlejące życie w ostatniéj iskierce,
Ażby zgasło, i moje zamarło z nią serce....

(ogląda się do koła).

Zkądże tu jeszcze ludzi żyjących tak wiele?
Sądziłem, kiedy nóż mój utonął mu w ciele,
Że już cały ród ludzki skonał z jego zgonem,
I że w stworzeniu, zbrodnią moją wyludnioném,
Trup jego ze mną sądów ostatnich doczeka.—

Opat *(obracając się do tłumu).*

Chodźcie, pochwyćcie, zwiążcie wściekłego
(człowieka!

(Nikt się nie rusza).

Nie widzęż tu żołnierzy? Cóż im broń wytrąca?
Trzebaż, aby dłoń moja bezsilna i drżąca
Pochwyciła go piérwsza? Zkąd ta niemoc głucha?
Ocknijcie się rycerze i nabierzcie ducha!
Pochwyćcie go na Boga! Nim sklepy zamkowe
Rozsadzone bluźnierstwem, runą nam na głowę!

Manfred.

Przybliżcie się.—Spełnijcie, co radzi mąż święty:
Odkąd-że to krew wroga budzi wasze wstręty?
Lękacież się, abyście w téj stanowczéj chwili
Każdéj kropli krwi mojéj własną nie spłacili?
Widzicie, że wygnańca nic nie zabezpiecza:
Nędzny, zgłodniały, niemam ni tarczy, ni miecza.

(rzuca sztylet).

Jestem bezbronny — daléj narzućcie mi pęta:
Nie przyszedłem tu walczyć. —

Opat.

Istoto niezgięta!
Któréj burzliwa wielkość dokonania blizka
Ostatnim swoim blaskiem rażąco połyska;
Czemuż cię, kiedy piekłu wydajesz twą duszę,
Przeklinać powinienem, a podziwiać muszę?
Mogąc ludzkość zaszczycać, zostałeś jéj katem.

Manfred.

On mię znieważył — ja go zabiłem — dość na
(tém!
Między krzywdą a zemstą zbyt długi był prze-
(dział
Innym jak tobie nigdym tyle nie powiedział:
Innym jak tobie odrzec nie mógłbym stosowniéj—
A teraz śpieszcie ziemskich dokonać katowni....

(Rycerze obstępują go).

Was, którzy oprawcami mymi być myślicie
Bez zaszczytu zwycięztwa — nie błagam o życie:

Proszę was tylko — więcéj, jeźli można jeszcze,
Podniecajcie żar stosu, dopalajcie kleszcze,
Zbierzcie, co tylko w sobie kunszt katowski mie-
(ści,
Kto wié, może raz przecie nad ludzkie boleści
Przerwą te sny okropne, które rad wymienię
Za najsroższe, byleby istotne cierpienie.—
Godzien jestem, by prośby mojéj wysłuchano. —

Opat.

Manfredzie! daj się zmiększyć — ugnij twe ko-
(lano —
Módl się — *(pokazując mu ślady krwi).*
Tę krew tyś przelał...

Manfred.

Obraziłem niebo:
Nie chcę go zwodzić próżno kłamliwą potrzebą
Łaski, któréj nie pragnę.— Dość mi na téj próbie
Natręctwa twego starcze. — Rozprawiać nie lu-
(bię.

(Wychodzą).

Scena 3.

Dzika i ciemna puszcza, w głębi wejście do obszernéj jaskini. — Wyżéj skały.

Noema *(sama).*

Jakaż mgła niespodzianie spadła mi na oczy:
Jakiż nieznośny ciężar serce moje tłoczy:
Czemuż piersi méj ulżyć, — mgły spędzić nie
(mogę?
Ranoż teraz czy wieczór,...? W jakąż idę drogę...?
Nic nie wiem.... I gdziez dla mnie dostępną jest
(ziemia?
(po chwili milczenia).
To dziwno, jak się wszystko wkoło mnie zacie-
(mia....
Dzień nie dla mnie przyświeca. — Zdrój nie dla
(mnie płynie...
(Szukając do koła siebie).
Gdzież mój syn?... Był tu przy mnie... Ha! skrył
(się w gęstwinie
Chciał mię pewnie nastraszyć.... Nie kocham zło-
(śnika!...
Patrzcie: już tam!... tu znowu!... rozśmiał się i
(znika....
Chodź tu, swawolny chłopcze — nie dręcz bie-
(dnéj matki —
Mnie tu saméj tak straszno...! Będziem zrywać
(kwiatki —
Siądziemy sobie blizko téj świéżéj mogiły —
Powtórzę ci piosneczkę, którą mi nuciły
Widma burzliwéj nocy. — Uśpię cię, przytulę,—
Tylko się popatrz na mnie serdecznie i czule,
I nie rzucaj jak tamci z litości wyzuci....
Gdzież on jest?... odbiegł!.... odbiegł i już nie
(powróci.
(płacze)

Klotylda *(wchodząc z Opatem i wskazując na Noemę).*

Ah! to ona samotna w téj dzikiéj zaciszy! —
Przebóg! jakże zmieniona — nie widzi — nie sły-
(szy —

Opat.

Spokój téj nieszczęśliwéj nie na tém już świecie.

Noema *(spostrzegając ich nagle).*

Precz odemnie oprawcy! Wiem ja czego chcecie
Znam was dobrze. — Znam wasze okropne rze-
(miosło —
Jam niewinna — nieszczęście nie z méj winy
(wzrosło —
Kochałam go, choć prawo do miłości stracił:
O! mój Boże! Widzicie jak mi się wypłacił!....
Nie pytam, jakiéj zbrodni dziś mi zarzut czynią,
Ale o to przynajmniéj nigdy nie obwinią,
Żem go nie dość kochała... Czego mię dręczycie?
Mamże może katownią okupić mu życie?
Jedno jego spojźrzenie snadniéj to wymoże,
Niż wszystkie wasze kleszcze, powrozy i noże.
(wpada w zadumanie).

Klotylda.

Nie pojmuję jak nędzne i wątłe jéj ciało
Tylu trudom, a jeszcze z dzieckiem podołało.

Noema.

Matką byłam. — Na ręku niosłam dziécię moje,
Upior mię ścigał — pragnął zgubić nas oboje —
Lecz nie dognał, bo bieg mój trwogą przyśpie-
(szony
Byłby był z wiatrem nawet puścił się w przegony.
Gdybyście widziéć mogli jakieśmy się śmieli
Z tych wysileń upiora i jego forteli —
Czaił się, zrywał, pienił, i zgrzytał zębami,
A ja silna, bezpieczna, choć byliśmy sami
Szydząc z fali, co może podrywała nogi,
Wdzierając się na skały przez cierniste głogi,
Otrząsałam zwycięzko rozpuszczone włosy
Z liści zerwanych w biegu i z porannéj rosy —
O! wtedy matką byłam!....

Opat.

Gdzież jest twoje dziécię? —

Klotylda *(wybiegając z jaskini, którą skwapliwie przejźrzała).*

Martwe tam leży!

Opat.

Nieba!

Noema *(zdumiona).*

Gdzie jest? Czy nie wiecie?

Klotylda *(ciszéj do Opata).*
Dla czegoż tym przedmiotem wznawiać jéj ka-
(tusze?
Opat *(ciszej).*
Sądziłem, że gdy serce gwałtownie poruszę,
Rozsądek w zbytku żalu odzyska swą władzę.—
Raz jeszcze na ten przedmiot myśl jéj naprowadzę.
(podnosząc głos).
Mów gdzie dziécię?
Noema.
Ha! Wiem, wiem, — potwora obrzydła,
Upior leśny na czarne pochwycił je skrzydła
I poleciał gdzieś z wiatrem — ot tam! w świat
(szeroki....!
(Staje nieporuszona z wyciągnioną ręką i osłupiałym wzrokiem).
Opat.
Umysł jéj nieprzejrzane objęły pomroki,
I ostatnie już jego dogasły połyski. —
Klotylda.
Jeżeli tak ma cierpieć, oby zgon był blizki.
Marek *(wbiegając z kilku mnichami).*
Manfred!....
Opat.
Mów ciszéj. — Możesz dobić nie-
(szczęśliwą. —
Daléj dzieci, Klotyldo, wiedźcie ją co żywo
Do jaskini — oddalcie tę okropność od niéj —
Słyszę chrzęst zbrojnych mężów; widzę blask
(pochodni
Migający w gęstwinie. — Wiedźcie ją czém prę-
(dzéj!
(sam do siebie).
Czemużem dni tych dożył — ileż ludzkiéj nędzy
W późnéj mojéj starości znać i widzieć muszę!
Ta przecież najboleśniéj rozraniła duszę.
(do Marka).
Zostań tutaj!
(Mnichy i Klotylda wprowadzają bezwładną Noemę do jaskini. — Opat idzie za niemi).
Jeden z Rycerzy *(wchodząc).*
Gdzież Opat?
Marek.
Wszedł do téj jaskini:
Mnie tu pozostać kazał — nie wiem co uczyni,
Lecz sądze, że raz jeszcze chce widzieć Manfreda,
Probując, czy przed śmiercią nawrócić się nie da.
Cóż myślisz?
Rycerz.
Umysł taki nagiąć się nie umie,
I straciwszy nadzieję wypręża się w dumie,
Prośby, obelgi, klątwa i groźba surowa
Z zaciśniętych ust jego nie wydarły słowa. —
Przyznać trzeba, że człowiek odważny jak mało.
(Odbłysk pochodni pada na skały. — Mnichy i rycerze ukazują się na wysokościach. — Z wielkim trudem zstępują po skalistych złomach. — Wchodzą. — Manfred obciążony kajdanami, wchodzi między dwoma mnichami, którzy trzymają pochodnie).
Urban *(do Rycerzy).*
Możecie go śmiało
Zostawić tutaj z nami.
(do Marka).
Przywołaj Opata!
(Marek wchodzi do jaskini).
Jeden z Rycerzy.
Strzeżcie się — po swojemu sztukę wam wypłata:
Nie dowierzam — będziemy dozierać z daleka.—
(Rycerze oddalają się w głąb sceny. — Ukrywają się w zaroślach przy jaskini, nie spuszczając Manfreda z oka).
Urban *(do Manfreda).*
Zbliża się czas twych sądów i śmierć tu cię czeka:
Przygotuj twoją duszę. — Nie wiele chwil mamy.
Stawiając drżącą nogę na skaliste złomy,
I schodząc po tych stopniach, które długie wieki
I tysiąca potoków wyżłobiły ścieki,
Przemawiałem do ciebie. — Nie odrzekłeś zgoła.
Manfred.
Nie słyszałem.
Urban.
Nieszczęsny rzuć okiem do koła:
Tu twój koniec, gdzie było łożysko twéj zbrodni
Rozpatrz się w tych przepaściach przy blasku
(pochodni:
Ja idąc ich wybrzeżem drżałem osłupiały,
Aby sam odgłos kroków odbity o skały
Wzruszywszy równowagi tych głazów wiekowe,
Którego z nich na moją nie oberwał głowę.
Te szramy, które Stwórca, gdy burzył świat stary,
Wyrył na zrębie ziemskim — te bezdenne jary
Muszą wylęgać w sobie potwory jedynie:
Jakżeś osiadł, jak wyżył w tych potwór dzie-
dzinie!
Manfred *(szydersko).*
Nic z tego, o czém prawisz, nie wpadło mi w oko.
Urban.
Bo duch twój w nieprawościach zagrzązł zbyt
(głęboko.
Manfred.
Przestań szaleńcze: Wiedzieć powinien byś
(przecie
Że najsroższe więzienia i katownie w świecie
Skuteczniéj, niż samotność człeka nie upomną.
Urban.
Zostańże z twoją zbrodnią sam na sam przyto-
(mną,
Prawdę słów twych doświadczę.
(Oddala się z mnichami w głąb gęstwiny).

(Dokończenie nastąpi).

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*